

BEATA
SADOWSKA PAWEŁ
KUNACHOWICZ

I jak tu nie podróżować

(z dzieckiem)



I jak tu nie podróżować (z dzieckiem)



Kiedy pierwszy raz chciałam zabrać swojego synka w podróż, ogarnęły mnie wątpliwości. Rozwiła je Beata, która miała już pierwsze wyprawy z Tysiem za sobą. Jestem jej ogromnie wdzięczna za to, że dodała mi odwagi. Teraz z radością podróżuję z dzieckiem, bo zgadzam się z tym, co mówi Sadzia: że dziecko nie jest dodatkowym bagażem, ale świetnym kompanem. Beata inspirowała wiele kobiet do biegania, podróżowania, prowadzenia zdrowego stylu życia... I jak tu jej nie kochać?

KATARZYNA ZIELIŃSKA
aktorka i mama Henia



BEATA
SADOWSKA KUNACHOWICZ

PAWEŁ

I jak tu nie podróżować

(z dzieckiem)



OTWARTE

KRAKÓW 2016

Copyright © by Beata Sadowska

Copyright © by Paweł Kunachowicz

Opieka redakcyjna: Małgorzata Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Helena Nowowiejska

Opracowanie typograficzne książki i łamanie: Eliza Luty

Adiustacja i korekta: Studio NOTA BENE

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce:

Tyś w Izraelu – © Celestyna Król;
pozostałe – z archiwum Beaty Sadowskiej i Pawła Kunachowicza

Fotografie w książce:

s. 23 (po lewej), 26, 27, 28, 30 (po lewej), 32, 137 (po lewej górne) –
© Celestyna Król; s. 47, 50, 51, 54, 56 – © Piotr Welc; s. 98 – © Rafał Pierścieniak;
pozostałe – z archiwum Beaty Sadowskiej i Pawła Kunachowicza

ISBN 978-83-7515-396-5



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwarte: www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2016.
Druk: Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków

Dedykacja Beaty

Dla Tysia, bo uczy mnie nie przegapić.
Dla Kosia, którego zaraz zabieramy w życiową podróż.

Dedykacja Pana

Dla Beaty, bez której nie byłoby tych wszystkich przygód.
Dla moich Rodziców, którzy nauczyli mnie przygód.
Dla Cioci Ewy – za łagodność i rozumienie moich wyborów.

Wstęp, czyli dziecko to nie koniec świata



Beata:

„Sadziu, czy spojrziałaś dziś w niebo?”, zapytał mnie Paweł. Zapytał i... zawstydził. Tak się staram zwalniać, tak bardzo staram się być uważna, tak (niby) wiem, że nie ma co gnać, pędzić i zasuwac z wywieszonym jak chart językiem, a jednak... Jednak nie spojrzałam w niebo. A wystarczyło podnieść głowę. Ech. Takie proste. Zwyczajnie-niezwyczajne.

Paweł potrafi zwolnić wbrew i pomimo. Nie spieszyć się. Wyłączyć. Nie tylko podczas wakacji, na co dzień też. I co dzień, nie tylko w wakacje, spogląda na niebo...

Wierzę, że nauczy tego naszego synka. Naszych synów, choć – kiedy to piszę – Kosmy nie ma jeszcze na świecie. Tak jak Tysia uczy, że zabawa nie musi oznaczać placu zabaw. Może za to oznaczać obserwowanie kaczek, szukanie patyków, galopadę na barana albo odśnieżanie wszystkich napotkanych po drodze z przedszkola samochodów.

Lubię na nich patrzeć. Podglądać, jak wspólnie uczą się świata podczas podróży mniejszych, większych i tych na koniec świata. Gdy się śmieją, gdy leżą wtuleni w siebie, gdy budują



konstrukcje z piasku albo gdy Tytus, trzymany w górze przez tatę, udaje samolot i woła: „Jeście jaz! Jeście jaz!”. Ten smyk podróżuje z nami od początku. Tak jak my wpisaliśmy się w jego świat, tak on wpisał się w nasz. Nie odebrał nam pasji – ani sportowej, ani podróżniczej. On ją wzbogacił. Przypomniwał, jaką radością mogą być najprostsze rzeczy, jak niewiele potrzeba do szczęścia, ile frajdy przynosi nowy dzień. Zagrał na nosie wszystkim, którzy krakali, że koniec z naszym stylem życia, że przez pierwsze 2 lata nigdzie się nie ruszymy. To, co znajdziecie w tej książce, wydarzyło się w ciągu 2 (z niewielkim hakiem) lat życia Tysia. Dziecko to nie koniec świata. To początek pięknej przygody. Wspólnej.

P.S. Kunku, postaram się częściej spoglądać w niebo. I mniej przegapiać. Bo warto.



Panek:

Podróżuję rodzinnie, zawodowo i sportowo. Od lat przez większość dni w roku jestem w podróży. Kiedyś z ciekawości policzyłem, że jest ich więcej niż 190. Nasz dom wygląda jak port handlowy w Pireusie: cały czas ruch, pakowanie, przepakowywanie i logistyka. Jeździmy razem, w pojedynkę, z dziećmi i bez, z psem i kotem. Torby leżą w korytarzu: zapakowane albo nierozpakowane. Tak jest, od kiedy pamiętam. Zaczęło się w PRL-u od wyjazdów z siostrą i rodzicami. Mały fiat z walizą na dachu

(zabezpieczoną foliowym obrusem przed deszczem), torbą na tylnym siedzeniu – odgradzającą mnie i Joannę i stanowiącą zapórę w wymianie argumentów podczas długiej podróży. Jeździliśmy w polskie góry, nad jeziora, a czasami nad morze do Jugosławii. W weekendy, w zależności od pory roku, ruszaliśmy z rodzicami do Puszczy Kampinoskiej, na łążwy do Zalesia – ślizgać się po kanałach i zamrzniętych stawach niczym Holendrzy, lub kąpać się w rzece Bug pod Warszawą. W pawlaczach zawsze były poupychane namioty, materace, śpiwory, sprzęt biwakowy. Przesiąkłem takim stylem życia. Czasy się zmieniły, inne kraje i kontynenty stały się bliższe, namioty lżejsze, śpiwory cieplejsze, a ja wciąż w podróży. Kiedy kończyłem studia, martwiłem się, że wraz z dorosłym życiem skończy się poznawanie świata. Potem, kiedy nadchodził Tytus, wszyscy wokół wieszczyli, że tym razem to już definitywny koniec wyjazdów. Za każdym razem pudło. Jest takie piękne hasło jednej z firm produkujących ubrania dla wspinaczy: *Never stop exploring*.



Chillout przed Maratonem Nowojorskim, czyli śniadanie na balkonie znakomitej polskiej modelki Zuzanny Bijoch



Ostatnie treningi przed startem

Fundusz Wczasów Pracowniczych, czyli smażalnia Sadzi



Sadziu, dlaczego nie możemy pojechać w góry albo do Skandynawii? – pyta Paweł, chociaż doskonale zna odpowiedź.

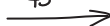
Możemy, ale ja tak lubię ciepło. Może najpierw się wygrzejemy? Dlaczego właśnie teraz mam marznąć w Norwegii (przepięknej – byłam, ale trzęsłam się jak cholera) na szczycie czegoś białego, kiedy jest lato, albo w stepie, gdzie hula wiatr?

– Ale co ja będę robił w „smażalni”? – pyta Paweł, chociaż doskonale wie, że odpowiedź brzmi: będziesz spędzał czas ze swoją ukochaną rodziną, przecież to wartość.

– Sadziu, czy tam jest wspinanie? – pyta Paweł, a ja czuję, że za chwilę oszaleję.

– Kunkuuu, lecimy z Tysiem do Tajlandii. Tysiek, ty i ja. Musimy tylko poczekać, aż malec skończy 3 miesiące i zaliczy wszystkie niezbędne w tym wieku szczepienia – mówię tryumfalnie któregoś dnia.

Mówię i już widzę ten wzrok: dlaczego nie góry, dlaczego nie biegun, dlaczego nie skały wspinaczkowe? I plany: jeśli urwiemy się na 2 dni, będziesz mnie mogła asekurować przez kilka godzin, a ja się powspinam z morza. Ratuuuuuunkuuuu!



– Kuna, to jest wyjazd dla Tysia, nie do końca dla nas, chociaż ja też chętnie odpocznę.

Uff. Ale to dopiero początek pytań. „Z trzymiesięcznym dzieckiem do Tajlandii?!”, miałam jeszcze usłyszeć dziesiątki razy. Od rodziny, koleżanek, bliższych lub dalszych znajomych czy nawet nieznanym, których (zwłaszcza tych dalszych i nieznanym) wcale nie pytałam o zdanie. „Tak, z trzymiesięcznym – powtarzałam jak mantrę. – Lekarz pozwolił”. Ta uniesiona brew, pogłębiająca się zmarszczka na czole, niby dyskretne kręcenie głową. Oszalała, naraża dziecko, wariatka, egoistka. I niby powinnam się już przyzwyczaić – kiedy biegałam z Tysiem w ciąży, reakcje były identyczne – ale wciąż nie rozumiem, dlaczego prawie każdy musi mieć zdanie na temat, o którym ma umiarkowane pojęcie albo zwyczajnie w ogóle go nie ma. Ja nie przyjmuję zaproszeń do porannych programów telewizyjnych, w których chcą mnie pytać o reakcje na zaręczyny, bo takich nie miałam, ani kiedy rozważają „psychologiczne aspekty tycia”. Nie żartuję, naprawdę kiedyś dostałam taką propozycję. Do dziś nie wiem, czy chodziło im o psychologa, czy o tę, która jest przykładem tycia. W każdym razie, zabierając malutkiego Tyśka do Azji, znowu okazałam się niepoważną, nieodpowiedzialną, brawurowo podchodzącą do macierzyństwa świruską.

Tymczasem wcześniej zadzwoniłam do lekarza, który zna naszego Tyśka od urodzenia, i dopytałam, co sądzi o takich wakacjach. Usłyszałam, że jeśli syn będzie po szczepieniach, a w hotelu, gdzie zamieszkamy, rezyduje lekarz – nie ma przeciwwskazań. No i mam nie wystawiać malucha na słońce. Wtedy jeszcze karmiłam go piersią, więc pokarm, sterylność, wyparzenie butelek kompletnie nas nie dotyczyły. Jedziemy!

Trochę się baliśmy kilkunastogodzinnego lotu. Chociaż... my to nic, nasi współpasażerowie odwracali wzrok, kiedy wsiadaliśmy z tycim zawiniątkiem na pokład, jakby chcieli odczarować

możliwość, że usiądziemy obok nich. Oczami wyobraźni już słyszeli ryk dziecka przechodzący w wycie kojota. „Łeeeeeeeeee!!!! Uuuuuuuuuuu!!!! Łeeeeeeeeee!!!!”. My też nie mieliśmy jeszcze samolotowych doświadczeń z Tyśkiem, więc tylko nieśmiało się uśmiechaliśmy. Przepraszamy, może się uda...

Przed lotem pediatra Piotr Dziechciarz poradził, żeby karmić Tytusa podczas startu i lądowania. Wtedy najbardziej bołą uszy, a taki mały as nie wie, że należy przełykać ślinę, gumy też jeszcze nie żuje i nie potrafi sam wyrównać ciśnienia. Synek sprawił nam nie lada niespodziankę: gdy tylko dostał kotłyskę przymocowaną do ściany, zasnął i obudził się po 11 godzinach! Odetchnęliśmy z ulgą. Duma! Nasz ci on! Nasz!

Takim widokiem przywitano nas Khao Lak





Pierwsze koty za płoty. Łądujemy. Jeszcze tylko bus z lotniska do hotelu i jesteśmy. W busie nie ma oczywiście fotelika, a może był tylko dla dwulatka, więc rozkładamy Tyśkowi część naszego wózka i dalej śpi jak... dziecko. Aniołeczek. Temperatura idealna, choć Paweł dyszy już jak stara lokomotywa. Tytus po warszawskim okutaniu w pajace, bodziaki, śpiwory i inne dogrzewające cuda, nie wie, co się dzieje, bo ma nagle gołe nóżki i nawet jest w stanie je zobaczyć.

Tu zaczynam pękać ze śmiechu, bo przeczytałam właśnie Pawłową wersję „paznokci na Bali” i muszę sprostować. Rzeczywiście wszystkie te historie się wydarzyły, rzeczywiście Paweł mówił to, co mówił, ale:

- fale były na Bali, a nie w Tajlandii;
- pan święty Mikołaj był na Wyspach Zielonego Przylądka;
- paznokcie Tyśka były w Tajlandii.

Paweł chyba tak bardzo wypiera moje „smażalnie”, że chciałby je wszystkie połączyć w jedną. Jeden wyjazd i z głowy. Czasami – z paznokci...

Z trzymiesięcznym synkiem wylądowaliśmy więc nocą w domku w Tajlandii. Paweł otworzył drzwi tarasu i ruszył jak szalony, po drodze zrzucając koszulę i trampki. „Sadziu, jak wspaniale, jak wspaniale!”, wrzeszczał, wcale nie przejmując się tym, że inni goście przyjechali kilka dni wcześniej i w nocy robią to, co zazwyczaj w nocy się robi: śpią. Biegał na bosaka, po trawie gęstej jak dywan, bez koszuli. Biegał, śpiewając i podskakując. Uroczy widok. Jedno jest pewne: nie zatracił w sobie dziecka i jak uczeń cieszył się z tropikalnej ulewy, która skąpała go w kilka sekund.

„Prysznic zaliczony”, powiedział przemoczony do suchej nitki i poszedł spać. Tak, on to potrafi: bez rozpakowania, sprawdzenia, gdzie jaka szafka, bez wyjęcia czegokolwiek z torby podróżnej.

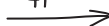
„Jestem zmęczony, więc śpię”. A ja... Mija godzina, druga, trzecia, a ja misternie układam T-shirty i przybory w łazience. Tak naprawdę chciałabym tak jak Paweł: być w czułych objęciach Morfeusza od dobrych 3 godzin. Zanim w tych ramionach wylądował, tradycyjnie próbował mnie przekonać do włączenia klimatyzacji.

– Tylko nie to – protestowałam. – Tysiek jest mały, a od klimy zawsze jestem chora. Spadł deszcz, powietrze jest rześkie (r z e ś - k i e?! Czy ja słyszałam, co mówiłam?!), dasz radę.

Żeby sprawiedliwości stało się zadość: wyszło na Pawła i od następnego wieczoru regularnie włączaliśmy klimatyzację, bo inaczej się nie dało mimo mojej miłości do tropików, upałów i lepkiego powietrza. Tyśkowi chłód też najwyraźniej nie przeszkadzał, bo zasypiał przepięknie. Rano budził się z uśmiechem, którym obdarowywał wszystkich przyjaznych Tajów z kuchni i zaskarbiał sobie ich łaski. Ja wcinałam tony świeżych pysznych owoców i maszerowałam z malcem pod palmę. Paweł w tym czasie zniknął, przepadał, rozpływał się, roztapiał. Nie było go. „Idę do klimatyzacji, dobrze?”, pytał i tyle go widziałam. Dobrze, dobrze. Wracął, żeby zabrać Tytusa do wody. Fale? Nie szkodzi – będą skakać. Maluch się zaśmiewał, tata też. Potem obowiązkowy wspólny prysznic pod gołym niebem. Ich męskie sprawy.

Wieczorami znikaliśmy na zmianę z Pawłem. Masaż tajski. Uwielbiam, choć niewiele z niego pamiętam, bo zazwyczaj odpływam po pierwszych pięciu minutach. Na tyle skutecznie, że mam sny. Budzi mnie dopiero delikatne dotknięcie dłoni, czyli znak, żebym przewróciła się na plecy albo usiadła. Zdarzało się, że mieliśmy taki masaż razem, a Tysiek spał między naszymi łóżkami. Zdarzało się też, że pod koniec zaprzyjaźnione panie masażystki przynosiły mi synka i kładły na brzuchu. Zdarzało się, że Paweł zostawał ze swoją małą kopia, a mama odpływała solo.

Tego jednego razu na pewno nie zapomnę. Wychodzę z masażu, a Paweł bryluje w otoczeniu kilku Tajek. Cudownie,



przynajmniej się nie nudził. Ale, ale... gdzie jest Tytus? Słodko śpi w wózekku, a nad nim pochyla się uśmiechnięta Smitha. Uśmiechnięta od ucha do ucha. Coś mi jednak w tym obrazku



Pierwsza wspólna kąpiel w wielkiej wannie

nie gra. „Nieeeeeeeee!” to jedyne słowo, które w trybie jednostajnie przyspieszonym dociera do mózgu. „Nieeeeeeeeeeeee! Nie wierzę!!!!!!!” Rzucam spojrzenie na Pawła. On spokojny, zrelaksowany, rozluźniony, zadowolony. Chyba najbardziej z siebie. Ja zdecydowanie mniej, bo Smitha ma w ręku małe nożyczki i właśnie kończy pedicure! TYMI małymi nożyczkami obcięła paznokcie trzymiesięcznemu maluchowi. Nie wiem, co powiedzieć. Paweł uśmiecha się szeroko i rozkosznie dodaje:
– Manicure też zrobiony.

Zemdleję. To jest pewne. I to zaraz. Wciąż nie mogę wyrzucić słowa. TE nożyczki. W tajskim salonie masażu. W malutkiej wiosce w dżungli. O maszynach sterylizujących narzędzia nikt tu

nie słyszał i nie usłyszy przez najbliższe lata. Ba, jestem przekonana, że nikt tych nożyczek nie czyścił od kiedy trafiły do salonu.

– Paaaaweeeeł...




Paweł nie wypuścił Tytusa z rąk ani na chwilę (patrz też „Strachy na Lachy”)

– Tak, Sadziu?

– Idziemy – wycedziłam tylko i chciałam uciekać, gdzie pieprz rośnie. Zapomniałam nawet o mojej ukochanej herbacie imbirowej, którą Tajki serwowały zawsze po masażu, mówiąc, że idealnie działa na pokarm dla dziecka. I chłodzi, choć jest gorąca. Nie, dziękuję, gorąco już mi było. Ja bym się bała pójść na manicure do takiego salonu, a co dopiero wysłać tam Tyśka.

– Ty wiesz, on się nawet nie obudził – pękał z dumy tata.

Wolałam milczeć. I obserwować, czy Tysiowi nie odpadają po kolei dłonie i stopy. Miał się jednak wspaniale. Bez zaczerwienienia, wysypki, pękających burchli i schodzącej skóry. Nic się nie stało. Tata miał rację.



Fundusz Wczasów Pracowniczych, czyli smażalnia Sadzi okiem Pana

Raz w roku Kuna jedzie na w c z a s y. Nie żeby to kochał. Kocha natomiast Panią Sadowską, która od czasu do czasu wybiera się do smażalni. Nie wie, dlaczego smażalnia jest fajniejsza lub najfajniejsza, kiedy obok siedzę pod krzakiem, palmą, daszkiem lub czymkolwiek, co mnie może uratować i dać trochę cienia. Nie ma żadnych domowych instrukcji czy poważnych zadań do wykonania, typu „zapakuj samochód”. Najwyżej przyjemne smarowanie kremem Sądziowych pleców. Smażalnia Pani Sadowskiej byłaby bardzo niefajna, jeśli Kuna byłby w tym czasie z kolegami na wspinaniu, na nartach lub po prostu został w domu i oszczędzał kasę. Medytuję więc i obracam w głowie pytania Tytusa: „Tata, co robisz?” i „Tata, po co?”. I powoli, przy wytrzepywaniu piasku ze stóp i butów, wyświetla się myśl: bo lubię...

Ale po kolei. Wyjazd na w c z a s y zaczyna się w czarterze. Zazwyczaj lubię długie loty. Odpływam w myślach, czytam – odpoczywam i dostrajam do tego, co jest. Tak jest, kiedy lecimy na wyprawę wysokogórską, maraton lub rodzinną przygodę. Z czarterami jest inaczej. Mniej więcej 40 minut po starcie czuję, że siedzący z tyłu gość kopie oparcie mojego fotela, wyładowując swoją

frustrację, że ma mało miejsca na nogi. Czartery tak mają. Ćwiczeń zen, licząc na to, że szalencie się opamięta. Grzecznie zwracam mu uwagę, międli coś pod nosem. Ćwiczeń dalej. Teraz przypominam sobie cytaty z Laozi. Słyszę, że impreza się rozkręca, męskie ulubione słowa padają coraz częściej. Podchodzi stewardesa i napomina, że picie własnego alkoholu na pokładzie jest zabronione. Faceci i ich partnerki dają po polsku wyraz temu, co myślą na jej temat. Ona – Czeszka – udaje, że nie rozumie. Po chwili nasz bohater znów kopie. Ani zen, ani tao nie pomagają. Odpinam pas i chcę po męsku wytłumaczyć gościowi, że kopanie mnie od 2 godzin nie jest fajne. Tak centralnie, po prostu, bez zbędnego komentarza. Ruszam... Na drodze jednak staje Pani Sadowska.

– Kuunnaa, daj spokój, po co?

To chyba jednak jest rodzinne pytanie.

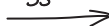
Jak to po co? – myślę. Po to, żeby go zabić! Nawet jeśli partner Beaty Sadowskiej miałby trafić na okładkę „Superaka”, to jeden przyzwoity uczynek byłby zrobiony...

Przetrawiałem lot do smażalni. Dojeżdżamy do wypasionego hotelu. Tytus, jak zawsze we wspaniałym nastroju podróźniczym, właśnie się przebudził. Jest środek ciepłej azjatyckiej nocy. Uprzejmi, uśmiechnięci ludzie prowadzą nas do pokoju. Otwieram drzwi na taras. O rany! Beata wybierała! Słyszę fale, widzę przed sobą plażę. Ruszam tak, jak stoję. W ubraniu wbiegam w gigantyczne fale. Takie surferskie. Nigdy takich nie widziałem! UUUUPS, faalaaa mnie zaaaabiera! W butach i ubraniu jakoś tak. Trochę jak w lawinie – będą jaja. Po chwili ŁUP! Ląduję na piachu, wypłuty przez Pacyfik, u stóp Pani Sadowskiej trzymającej za rękę Pana Tytusa.

– Tata, p o c o ?

– Dla hecy, synek. Dla hecy warto robić różne rzeczy.

Chyba to niewychowawcze uczyć malca pływania w środku nocy w trzymetrowych falach. A może właśnie tak jest dobrze?





Zdrowy egoizm, czyli czas tylko dla mamy

Po nocy przychodzi dzień. Rodzinka na śniadaniu, rodzinka na lunchu, zbieranie zabawek, szukanie ukochanego wiaderka, wracanie po ręcznik i „coś na głowę, Kunku, węź”, „i jeszcze tę chustę kolorową z Brazylii”. Wychodzenie po 3 godzinach. Człowieku, to jest sztuka, tak dawać radę i czekać! W smażalni zawsze jest coś do zrobienia, nawet jeśli nic nie ma. Idziemy. Co widzę??? Czy ja dobrze widzę??? Ciemnoskóry pracownik ośrodka w czapce świętego Mikołaja na głowie łowi liście w basenie. No i co? Poprawność nakazuje, żeby się nie śmiać. Wyję z radości i macham na powitanie.

– *Merry Christmas*, John, dzisiaj jest twój dzień! – wołam.

Śmiejemy się obaj. Ja z niego, on ze mnie. Chyba z tych moich kolorowych surferskich gaci do kolan. W palmy.

Pod wieczór zadanie. Pani Sadowska idzie na masaż, a Kuna zajmuje się Tytusem. Mamy takie ulubione lokalne spa. Mamy – bo ja też. Witają nas uśmiechnięte Baliжки. Jesteśmy stałymi bywalcami, rozmawiamy, pijemy wspólnie herbatę – lubimy się. Beata zamawia sobie masaż, które na moje oko potrważą ze 3 godziny. Z gadaniem z Baliżkami – z 5. A tata z malcem... Grubo będzie, myślę sobie. Próbuję protestować, że za długo, ale Sadzia już znika. Takie prawo smaźalni, takie prawo Pani Sadowskiej.

Zostajemy we dwóch w towarzystwie pięciu Baliżek. „To ja tylko tu piwo sobie kupię, a wy byście popatrzyły na Tytusa, OK?”, „OK, Pavel, take your time”. No to lecę. Dwie duże puszkі zimnego piwa będą w sam raz na początek tych kilku godzin. Wracam zadowolony, biorę od dziewczyn Tytusa na ręce. Trochę zwiedzamy okoliczne witryny, trochę gadamy, myjemy łapy, przewijamy pieluchę – takie tam męskie sprawy. Czas płynie powoli. Miejsce przyjemne, więc nie ma co łaźić. Kręcimy się przy wejściu do lokalu, przewalamy na stojących na zewnątrz kanapach i pufach. Baliжки śmieją się i pytają, czy mogą sobie zrobić zdjęcie z Tytusem. Biorą go na ręce. Tytus krąży z rąk do rąk i wygląda na zadowolonego. Ja też zadowolony relaksuję się w fotelu.

– Pavel, on ma długie paznokcie, mogę mu obciąć? – pyta Smitha.

– Pewnie, czemu nie. Obcięte lepsze.

I precyzyjnie zabiera się do pracy. Paluszek po paluszkę, delikatnie, z czułością i uśmiechem robi malcowi manicure. Ja sącę piwo, odpoczywam, napawam się ciepłem. Jak spa, to relaks. Po kolejnej małej godzinie manicure zrobiony. Smitha wskazuje małe stópki.

– Jasne, pedi też rób.

Chwila relaksu dla taty się przedłuża. Jest dobrze. W sumie coś z tej smaźalni muszę mieć. Cicho, spokojnie, przyjemnie. Jesteśmy w połowie drugiej stópki i nagle... kurtyna się odsłania i radosna Sadzia, w towarzystwie już nie jednej, a trzech ubawionych

masażystek, wychodzi z lokalu. Rzuca najpierw spojrzenie na Tytusa, potem mrozi mnie wzrokiem. Robi się jakoś tak dziwnie.

- Co one robią?
 - Pedi, proszę pani.
 - Widzę.
 - Nooo – mówię (i myślę sobie, że też widzę).
 - Miałeś się nim zająć.
 - No i się zajmuję.
 - Widzę, jak się zajmujesz.
 - Dobrze się zajmuję, będzie miał obcięte paznokcie u rąk i stóp. Niedobrze...
- Następna smażalnia za pół roku.



Już tęsknimy za takimi widokami



Piotr Dziechciarz

*doktor nauk medycznych,
pediatra, gastroenterolog*

*Klinika Pediatrii
Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego*

Kiedy zacząć podróż z dzieckiem?

Nie ma żadnego limitu wiekowego, kiedy dziecko może odbyć pierwszą podróż. Odpowiedź zależy od:

dokąd, jak daleko, jakim środkiem lokomocji. Nie zachęcam do podróży przez pierwsze 3 miesiące, bo organizm dziecka jest bardziej wrażliwy na infekcje, które może złapać w podróży.

Jak wybierać miejsca wypoczynku?

Kierując się zdrowym rozsądkiem i wyobraźnią. Medycyna nie ma tu nic do powiedzenia.

Puściłeś mnie z trzymiesięcznym Tysiem do Tajlandii, wiesz, ile osób łapało się za głowę?!

No myślę. Większość moich kolegów pediatrów też ukrzyżowałyby mnie za to. Uważam jednak, że podjęliśmy dobrą decyzję. Po pierwsze: Tysiek urodził się jako zdrowe donoszone niemowlę bez żadnych obciążeń zdrowotnych. Po drugie: ma doświadczonych w podróży, rozsądnych rodziców (choć niepozabawionych odrobiny szaleństwa). Po trzecie: przerobiliśmy krótki kurs radzenia sobie w najczęstszych sytuacjach chorobowych. Po czwarte:

obiecaliście mi, że będziecie w zasięgu cywilizacji, czyli że w przypadku jakiejś choroby najpóźniej w ciągu kilku godzin zgłosicie się do lekarza. Po piąte: mieliśmy możliwość kontaktu telefonicznego. Po szóste: Tysiek był karmiony piersią, czyli z jednej strony był dodatkowo chroniony przez mleko mamy, a z drugiej – wiedziałem, że nie dostanie niczego podejrzanego do jedzenia. I po siódme: miałem już podobne, bardzo dobre doświadczenia z innymi rodzinami z małymi dziećmi w podróży.

Samolot – strachy na Lachy?

Strachy na lachy. Podróżowanie samolotem to przede wszystkim niewygodą dla rodziców, bo do drugiego roku życia dziecko nie ma własnego miejsca, więc siedzi z mamą albo z tatą. Większość znanych mi dzieci dobrze znosi takie podróże. Należy tylko pamiętać o regularnym dawaniu dziecku picia, najlepiej wody butelkowanej, ponieważ powietrze w samolocie jest wysuszone.



Szczepienia?

Okolo 3 miesiące przed planowaną podróżą warto zainteresować się dokładniej egzotycznym krajem, jeśli do takiego lecimy. W niektórych regionach są wymagane lub zalecane szczepionki, których nie przyjmuje się w Polsce. Godny polecenia jest anglojęzyczny

serwis www.cdc.gov (Centers for Disease Control and Prevention), aktualny i wiarygodny. Ważne, żeby pomyśleć o szczepieniach z wyprzedzeniem, ponieważ niekiedy trzeba przyjmować dawki w kilkutygodniowych odstępach. Przygotowanie dziecka do egzotycznej podróży warto, rzecz jasna, skonsultować z lekarzem pediatrą.

Co zabrać do podróży apteczki?

Przede wszystkim leki przeciwbólowe, przeciwgorączkowe typu ibuprofen, paracetamol oraz przeciw biegunce: preparaty do nawadniania doustnego, probiotyki o udowodnionej skuteczności w leczeniu ostrej biegunki, na przykład smektyn dwuoktanościenny. Poza tym podstawowe środki odkażające i opatrunkowe. Nie zalecam brania antybiotyków. Jeśli pojawi się poważniejszy kłopot, lepiej skorzystać z pomocy lekarza na miejscu, który zna specyfikę lokalnych problemów zdrowotnych.

Spis treści

Wstęp, czyli dziecko to nie koniec świata	7
Denali, czyli Alaska z Tytusem w tle	11
Kropka na trasie Denali, Izrael z Tysiem w brzuchu i powtórka z rozrywki, czyli znowu tu jestem	22
Nowy Jork, Londyn, Warszawa, Serra de Montsant, czyli „Dawaj, tatusiu!” i „Bjawo, mamol!”	33
Fundusz Wczasów Pracowniczych, czyli smażalnia Sadzi	45
Fundusz Wczasów Pracowniczych, czyli smażalnia Sadzi okiem Pawła	52
Piotr Dziechciarz	57
Koń pociągowy, czyli śnieżny dyliżans	60
Hinduska ciężarówka, czyli pakujemy się na wakacje	68
Magdalena Kordaszewska	73
Mały niedźwiedź mocno śpi, czyli kotyska na wielbłądzie i na baranie vel... ojcu?	75
Geny, czyli mały wspinacz w różowym hotelu dla księżniczek podczas hiszpańskiej zimy w maju	82
Magdalena Kordaszewska	93
System naczyń połączonych, czyli jedziemy do dziadka i dziadek jedzie z nami	95
Maria Rotkiel	111
Cyrk na kółkach, czyli zoo w podróży	115

Pożeracz homarów, bulw i korzeni, czyli mały odkrywca smaków	128
Piotr Dziechciarz	139
Patyk, ślimak i kałuża, czyli wyjazdowi kumple Tysia	141
Maria Rotkiel	151
Brazylia, czyli przewijaki w kraju macho i argentyński anioł podczas Rajdu Dakar	153
Przewijaki w kraju macho	160
Magdalena Kordaszewska	165
Najfajniejszy tata świata, czyli rozdział niespodzianka, o którym Paweł dowie się, czytając tę książkę	167
Maria Rotkiel	187
Grecja, czyli wspinaczka, „utka”, bujanie na krześle i becząca koza	189
Marcin Fabjański	201
Największe góry świata	203
Marcin Fabjański	211
Kąpiel w Wiśle i fala w Tajlandii, czyli nie taki diabeł straszny	213
Strachy na Lachy	220
Maria Rotkiel	225
Wielka Wiadomość	228

WYPRAWY Z DZIECKIEM SPRAWIAJĄ PRAWDZIWĄ FRAJDĘ!

Uwielbiamy zdrowy, aktywny tryb życia. Biegamy, wspinamy się, jeździmy na rowerach. Oboje kochamy podróże, choć nasze gusta w kwestii temperatur znacznie się różnią. Czasem wyjeżdżamy osobno, czasem całą drużyną, nawet ze zwierzakami. Pojawienie się Tyśka, wbrew przewidywaniom wielu osób, nie zatrzymało nas w domu. Co więcej, zyskaliśmy fantastycznego towarzysza podróży i wzajemnie uczymy się świata. Teraz do naszego teamu dołączył drugi syn – Kosma. No to w drogę!

Ta książka to nie tylko zapis podróżniczych przygód, ale również zbiór porad ekspertów. Psycholog **Maria Rotkiel** opowiada o znaczeniu rodzinnych wyjazdów dla prawidłowego rozwoju malca, pediatra i gastroenterolog **Piotr Dziechciarz** wyjaśnia, jakich posiłków dzieci powinny unikać w trakcie podróży, a **Magdalena Kordaszewska** z portalu Zabawkowicz.pl radzi, jakie zabawki najlepiej spakować do wakacyjnego bagażu. Filozof **Marcin Fabjański** wskazuje, czego dziecko może nauczyć się od natury.



BEATA SADOWSKA – dziennikarka telewizyjna i radiowa, blogerka i mama. Stała na mecie piętnastu maratonów i jednego (póki co!) triathlonu. Autorka książek *I jak tu nie biegać!* oraz *I jak tu nie jeść!*



PAWEŁ KUNACHOWICZ – ultramaratończyk, instruktor narciarstwa alpejskiego, przewodnik wysokogórski i tata. Na nartach w dwadzieścia jeden dni przeszedł trawers Spitsbergenu i zjechał ze szczytu Muztag Ata.

Ta książka daje nadzieję tym, którzy obawiają się, że po narodzinach dziecka ich aktywne, barwne, pełne przygód i podróży życie legnie w gruzach.
Będzie dobrze!

SERGIUSZ PINKWART
dzieckowdrodze.com

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-396-5



9 788375 153965

Cena detal. 39,90 zł

Zajrzyj na blog
beatasadowska.com

